



INTRO

To mój pierwszy felieton, zatem wypada się przedstawić. Jestem basistą, ściślej – kontrabasistą, i to zadeklarowanym.

Od dziecka niezmiernie intrygowały mnie dwie stojące w piwnicy skrzynie. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że to wzmacniacz i głośnik i że mój tato (Leszek Bogdanowicz) na tym „zestawie” zakładał w Polsce rock and roll... ze swoim zespołem Rhythm & Blues w 1959 roku... Ja, per analogiam, też od rock and rolla zacząłem, a raczej od big beatu, czyli jego polskiej odmiany. Chwilę później ojciec pokazał mi „Abbey Road” i zabrał na koncert Blood, Sweat & Tears, dalej już poszło samo...

Po kilku latach Beatlesi poszli w odstawkę i na prowadzenie wysunęli się Purple i Zeppelini, a zaraz potem – Yes, Genesis i King Crimson. Tego było naprawdę dużo i to w wielkiej różnorodności. Istny róg obfitości. Z naszej polskiej perspektywy wpisywali się w ten ruch również Węgrzy. Chodziłem na koncerty Omegi i Locomotiv GT do gdańskiej Hali Stoczni. Polska reprezentacja nie była zbyt liczna, choć wysokiej próby – głównie SBB. Poszedłem na wagary, aby kupić ich pierwszą płytę (po dobre płyty stało się wtedy w kolejkach...). Wszystko było nowe, dopiero

co wynalezione, była to pierwsza połowa lat siedemdziesiątych. Nigdy później zespoły rockowe nie były tak kreatywne.

Miałem piętnaście lat, gdy zmieniło się moje życie, jak się później okazało, na długo... Pojawił się jazz i kontrabas, nie pamiętam w jakiej kolejności, chyba jednocześnie. Zgodnie z cechującą młodych ludzi impulsywnością zdetronizowałem moich dotychczasowych idoli. Ich miejsce zastąpili Chick Corea, John McLaughlin, Weather Report i dwaj królowie – Keith Jarrett i Jan Garbarek. Jazzem bardziej klasycznym zacząłem się interesować nieco później, kiedy doszło do poważniejszej nauki grania jazzu. Pojawiły się moje pierwsze zespoły. Czas i miejsce były ku temu wymarzone – Trójmiasto, przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Powstał Big Band Gdańsk. Z tego „miotu” są Maciek Sikala, Adam Wendt, Grzesiu Nagórski, Jurek Głowczewski – to najwybitniejsi, ale wtedy było tej jazzowej młodzieży naprawdę dużo. Koncerty, jamy, pełno publiki, dziewczyn też! Czasy, te pozamuzyczne również, były na Wybrzeżu nie tylko spontaniczno-optimistyczne. Jak wiadomo, za chwilę miało się to wszystko zmienić... A my w międzyczasie pojechaliśmy studiować jazz do Katowic, wtedy można było tylko tam.

Na studiach zacząłem grać na poważnie. Już na pierwszym roku założyliśmy z kolegami Heavy Metal Sextet, przekornie graliśmy ortodoksyjny jazz środka. Pierwsze płyty, festiwale, koncerty, kilka nadludzkim wysiłkiem załatwionych wyjazdów na Zachód i kariera się zaczęła...

A moje zainteresowania postępowały już, w przeciwieństwie do wczesnej młodości, raczej ewolucyjnie, choć były i trzęsienia ziemi, choćby pierwsze w Polsce koncerty Milesa Davisa w 1983 czy Pata Metheny'ego w 1985.

Po studiach zamieszkałem w Warszawie. Po Heavy Metalu nie było już śladu. Zacząłem być si demanem, czyli grać ze wszystkimi – był taki jeden rok, w którym zagrałem dwieście pięćdziesiąt gigów (koncertów, nagrań itp.)! Zastanawiam się, jak to było możliwe. Pod koniec lat osiemdziesiątych zacząłem stałą współpracę Januszem Stroblem, po kilku latach także z Włodzimierzem Nahornym. Ku (mam nadzieję) wzajemnej radości grywamy do dziś. W połowie lat dziewięćdziesiątych założyłem swój pierwszy zespół. Wymarzyłem sobie, że będziemy grali moją muzykę. Przy pierwszych próbach zauważyłem, że autocenzurę przechodzą utwory dość melodyjne, żeby nie powiedzieć bardzo. Chyba zadziałała suma moich muzycznych fascynacji – od „Here Comes The Sun”, przez „Lucrecię Mac Evil”, „Schody do nieba”, „On Green Dolphin Street”, „My Song” i „La Fiestę”. Później, gdy tych moich utworów nazywano się więcej, można było wyciągnąć jakieś wnioski. I tak – uważam, że to właśnie melodia jest w muzyce najważniejsza. Dziwne jak na basistę, co? Wszystko inne – harmonia, forma, groove – jej właśnie służą. Dziś mamy do czynienia z wielkim deficytem melodyki. Z tego powodu trudno odróżnić jeden utwór od drugiego. A „My Funny Valentine” czy „Starlessu” się nie zapomina, nigdy.